



IDEALIZOWANIE MŁODOŚCI

Jest taki piękny proces w naszych głowach. To, co pamiętamy z młodości, z biegiem lat staje się w naszej pamięci coraz piękniejsze i doskonalsze. We wspomnieniach ciągle świeci słońce.

No i myślę, czy nie o to właśnie chodzi, bo pamiętam czasy, kiedy słuchanie muzyki było świętem. Koncerty, pojawianie się nowych płyt – to były wydarzenia, na które się czekało.

Opowiem o koncercie Shakti, chyba warto. Tylko raz mi się takie coś zdarzyło. Było to jakoś chyba w marcu 1976 roku.

John McLaughlin był u szczytu sławy, tuż po Mahavishnu Orchestra. I tym pierwszym – z Janem Hammerem (p), Jerrym Goodmanem (viol), Rickiem Lairdem (b) i Billym Cobamem (dr), oraz drugim – z Jean-Lukiem Pontym (viol), Gayle Moran (kb, voc), Ralphem Armstrongiem (b) i Naradą Michealem Waldenem (dr). Płyty – przeboje: *Birds of Fire*, *Apocalypse*, *Visions of the Emerald Beyond*.

I wtedy, w 1976, materializuje się kolejna wizja geniusza – Shakti. Z Hindusami Zakirem Hussainem na tabli i Lakshminarayaną Shankarem na skrzypcach. Przyjeżdżają do Polski! Na dwa koncerty w Warszawie! To, o czym chcę opowiedzieć, działo się właściwie przed koncertem. Jak wspominałem, były dwa, tego samego dnia. Chyba o 17 i 20. Ja ze znanym już czytelnikom moich felietonów (haha...) moim Tatą mieliśmy bilety na ten późniejszy. I co się okazało? Gdy przybyliśmy pod Salę Kongresową, ujrzeliśmy otaczającą ją zbitą tłum, kordon ludzi szczerze oplatający owal monumentalnej budowli, zdobionej rzeźbami przedstawiającymi lud pracujący miast i wsi. Wprawdzie podobnie bywało zawsze przed dobrymi

koncertami, ale żeby aż tak – to nie... Nawet nie było mowy o tym, żeby przedrzeć się do wejścia z biletami. Okazało się, że publika z pierwszego koncertu nie chce wyjść... Że chcą jeszcze słuchać tej zaczarowanej muzyki. Niesamowite. Interweniowała milicja. Przyjechały suki. Milicjanci z tarczami wbili się w tłum i w ten sposób uczynili w nim korytarze, którymi mogli przejść ludzie z biletami. Nie było to bardzo brutalne. Oporu rozpychanych też nie pamiętam. Wewnątrz żadnych interwencji nie było. Część okupowała widownię, część barykadowała się w toaletach i w zakamarkach na drugim piętrze. Organizatorzy rozumieli fanów... I odbył się ten drugi występ przy prawie podwójnej publiczności! Oczywiście o dotarciu na nasze „wypasione” miejsca w piątym rzędzie nie było żadnych szans. Siedzieliśmy na nienumerowanych ławkach wieńczących amfiteatr. Koncert był wspaniały, i jakie owacje! Pamiętam wrzask publiki już od pierwszych dźwięków. Jak dziś słucham *La Danse Du Bonheur* z płyty *Handful of Beauty*, to ciarki mi chodzą po plecach. Zupełnie tak samo jak wtedy, nic nie minęło.

I tak sobie myślę, czy to jest idealizowanie młodości? Czy to, że siedzieliśmy na dywanie i słuchaliśmy przez cały wieczór jednej płyty, to był jakiś ewenement? Przecież wszyscy tak robili, no może prawie. Tak było z *Return to Forever*, *Black Market*, *8:30*, *Travels*. Też z *We Get Request* Oscara Petersona, osiągalnej u nas, bo wydanej przez czechosłowacki Opus i możliwej do kupienia w Instytucie Czechosłowackim na Marszałkowskiej w Warszawie. Tak też było przecież z perłami rocka: *Dark Side Of The Moon*, Santaną z Buddym Milesem, *Made In Japan*, *Red Crimson*ów, *Close To The Edge* Yesów czy *Foxtrotem* Genesis...

Było tego sporo, ale bez nadprodukcji... Cieszyliśmy się z każdego słuchania. Gromadziliśmy jak najlepszy sprzęt. Gramofon Fonomaster! Magnetofon Dama Pik! Mogące służyć za wzmacniacz HI-FI radia Meluzyna czy Radmor! Ha! To było coś!

A teraz – iPhone'y, smartfony. Kabelki, słuchaweczki. Każdy sobie niszczy słuch. Wyalienowany, zamknięty w swoim świecie. Muzyki jest pełno – „na wagę”. Sprzętu też. Prawie nikt go już nie kupuje. Celebry zero. Koncertów pełno, a czegoś brakuje... Kilka hipotez już tu, w TG, postawiłem... Było już, że „schyłkowi stylowi towarzyszy wzrost perfekcji technicznej i zanik osobowości”. Ale jest jeszcze coś. Obniżyła się ranga muzyki w społeczeństwie. Z czegoś, co było w centrum uwagi, stała się tłem. Teraz muzyka tria Jarretta gra na imprezie i nikt nie zainteresuje się, kto zacz. Dawniej znaleźliby się tacy, którzy próbowaliby uciszyć towarzystwo i dali muzykę głośniejszą. *Signum temporis...*

A ja tam wiem swoje. Poziom pikuje w dół, bo muzyka dziś służy do wypełniania czasu między reklamami... A ona przecież nie po to jest! Wszystko już pisałem... Tylko cały czas wracają te wspomnienia. I tak sobie myślę, że nie jest to wyłącznie idealizowanie młodości. (sic!)

Mariusz Bogdanowicz

P.S.

John McLaughlin był podobno w Polsce w latach sześćdziesiątych z brytyjskim piosenkarzem Engelbertem Humperdinckiem. Grali koncert w Hali Stocznia w Gdańsku – tej, która spłonęła w 1994.

Na stronie www.mariuszbogdanowicz.pl znajdziecie archiwum felietonów Mariusza Bogdanowicza opublikowanych do tej pory na łamach TopGuitar.